

Pismo

MAGAZYN OPINII

LISTOPAD 2021 | NR II (47)



SOCZEWKA PISMA

**Czy można wygasić
Bełchatów?**

REPORTAŻ

**Jak żyją dzieci
z cukrzycą?**

ŚWIAT

**Niemcy
bez Merkel**

**Brytyjczycy
wciąż z Johnsonem**

CENA: 15,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

1 1 >



9 772544 502005

Pismo

MAGAZYN OPINII

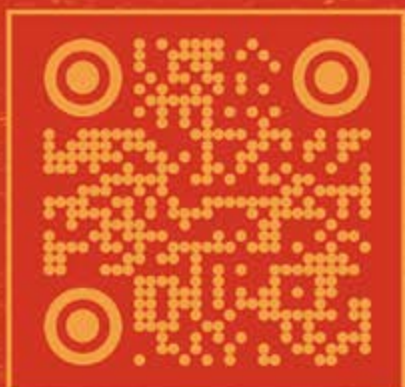
LISTOPAD 2021 | NR II (47)



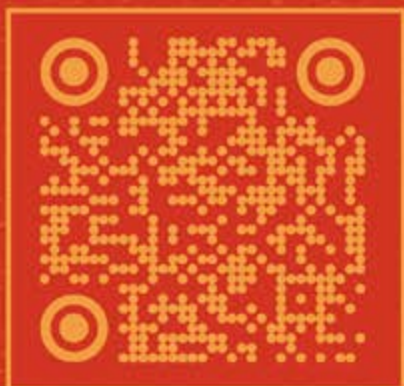


WROCŁAW MIASTO
LITERATURY UNESCO

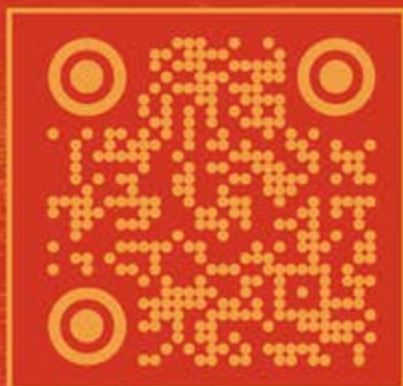
CO NOWEGO?



WYDAWNICTWO WARSZTAWY



KANAŁ YOUTUBE
WROCŁAWSKIEGO
DOMU LITERATURY



WROCŁAWSKIE TARGI
DOBRYCH KSIĄŻEK

Można nas znaleźć:



Wrocław miasto spotkań



WrocławskiDomLiteratury



wroclawski_dom_literatury



literatura.wroclaw.pl

Wrocławski Dom Literatury

Podcast Radio Proza



MAGAZYN OPINII Pismo.

LISTOPAD 2021

PROZA

Więzień Kufsteinu | 6
JACEK DEHNEL

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w listopadzie

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 79
KONRAD AKSINOWICZ

POEZJA

Drzewa | 46
MICHAŁ KSIĄŻEK

Każdej z córek | 90
JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

OBRAZ

CYKL PRAWA CZŁOWIEKA **Przemysłowiczki** | 4
RATS AGENCY

KOMIKS **Ręce dziadka** | 52
WIKTOR TALAGA, ANTONI KUŹNIARZ

OKŁADKA **Zrób sobie prąd**
IZABELA OLESIŃSKA

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Dobre wiadomości**
MARCIN WICHA

13 | NIE WSZYSTKO STRĄCONE **W nas energia**
ANIA MORAWIEC szuka czystszej energii

95 | ROZMOWY Z K. **Kosmos pełen wielorybów**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | PRZYPISY **À propos odchodzenia od węgla**
ZUZANNA KOWALCZYK

SOCZEWKA PISMA

14 | **Bełchatów: sprawiedliwa transformacja?**
JULIUSZ ĆWIELUCH, RAFAŁ MILACH o polskiej energetyce

REPORTAŻ

40 | **Słodko, gorzko**
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA wysłuchuje rodziców dzieci z cukrzycą typu 1

ESEJ ŚWIAT

60 | **Służba pokornej pani kanclerz**
ADAM TRACZYK: jak będą wyglądały Niemcy po erze Merkel?

PORTRET

68 | **Boris Johnson: w tym chaosie jest metoda**
TOM MCTAGUE sprawdza, w co gra premier Wielkiej Brytanii

STUDIUM

80 | **Rewolucja wydarzy się w lasach podmiejskich**
DANIEL PETRYCZKIEWICZ o obywatelskim odzyskiwaniu lasów

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn Opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarzowanie redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Felierton: Marcin Wicha, Ania Morawiec, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i technologie: Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Reklama: reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik
i pisarz. Nagrodzony
Paszportem „Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem*.
W kwietniu ukazała
się jego najnowsza
książka *Kierunek
zwiedzania*.

Dobre wiadomości

Mały chłopiec ratuje siostrę z niebezpieczeństwa. Gwiazdy Marvela nagrywają filmik specjalnie dla niego. Dzieciak nie może uwierzyć własnemu szczęściu.

Mały chłopiec pada ofiarą hejtu. Gwiazdy piłki nożnej zapraszają go na mecz. Dzieciak nie może uwierzyć własnemu szczęściu.

Mały chłopiec podbija serca widzów. Gwiazdy rapu kupują mu profesjonalny sprzęt nagraniowy. Dzieciak nie może uwierzyć własnemu szczęściu.

Problem na granicy wciąż występuje.

Rybaczy ratują małą wydrę. Ocalony maluch wyjada sałatkę z talerza. Rybaczy nie mogą powstrzymać uśmiechów.

Pracownicy leśni ratują małego niedźwiadka, którego głowa – oj, nierozsądny misiu! – utkwiała w plastikowej beczce. Uwolniony zwierzątko szybko odzyskuje dobry humor. Widząc jego harce, pracownicy leśni nie mogą powstrzymać uśmiechów.

Naukowcy wypuszczają na wolność dwa osierocone niedźwiadki. Najpierw ostrożnie, potem coraz szybciej zwierzątka biegną w stronę lasu. Kołyszą się na krzywych łapach i nawet naukowcy nie mogą powstrzymać uśmiechów.

Problem na granicy wciąż występuje.

Strażacy uratowali największe drzewo świata. Reszta lasu spłonęła. Mimo ogromnego zmęczenia na ogorzałych twarzach strażaków widać uśmiechy satysfakcji. Miliony internautów oglądają filmik ze strażakami.

Pingwiny w angielskim ogrodzie zoologicznym dostają maszynę do baniek mydlanych. Królewskie ptaki szybko zapominają o wrodzonej powadze i biegną za bańkami jak dzieci. Miliony internautów oglądają filmik z biegającymi pingwinami.

W zoo rodzi się białe lwiątko. Na wolności albinos nie miałby szansy na przeżycie, ale w zoo będzie przyciągać tłumy. Białe lwiątko pije z butelki. Miliony internautów oglądają filmik z białym lwiątkiem.

Problem na granicy wciąż występuje.

Z okazji święta wolontariusze przygotowują rekordową liczbę kanapek dla ubogich. Nikt wcześniej nie przekroił tylu bułek i nie naszykował tylu plasterków szynki i żółtego sera! Mieszkańcy zaczynają się obawiać, czy wystarczy ubogich dla tylu kanapek. Wyczyn trafia do księgi rekordów.

W galerii handlowej można podziwiać model Lamborghini wykonany z czterystu tysięcy klocków Lego. Model trafia do księgi rekordów.

Trwa konkurs na imię dla szkieletu mamuta włochatego. Bezimienny szkielet od ponad sześćdziesięciu lat stoi w muzeum. Rozstrzygnięcie plebiscytu wkrótce, a szkielet trafia do księgi rekordów.

Problem na granicy wciąż występuje.

Starsza kobieta próbuje sprzedać ręcznie robione skarpety. Wzruszeni internauci wykupują cały zapas.

Starsza kobieta sprzedaje grzyby. Wzruszeni internauci wykupują cały zapas.

Ubogi, lecz uczciwy mężczyzna wymienia gumki na wycieraczkach. Wzruszeni internauci wykupują cały zapas.

Problem na granicy wciąż występuje.

Istnieje nawet specjalne święto dobrej wiadomości. Obchodzone od 2001 roku, gdy przedstawiciele polskich elit intelektualnych i artystycznych postawili sobie za cel „kształtowanie obrazu rzeczywistości przyjaznej człowiekowi” oraz promowanie obrazu Polaków „jako ludzi życzliwych, twórczych, szukających wzorów i autorytetów”. (Jasne, że cytuję Wikipedię).

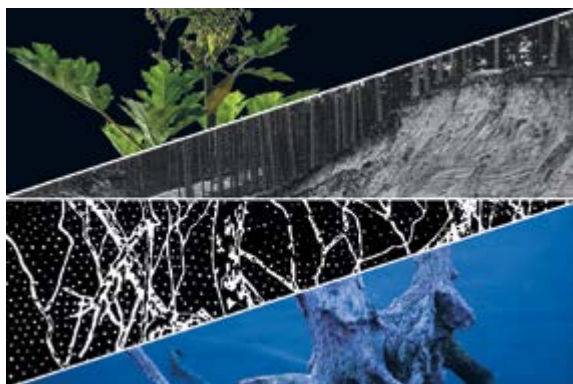
Dzień dobrej wiadomości miał powstrzymać media, które „codziennie bombardują opinię publiczną negatywnymi, a często również zatrważającymi informacjami”. (Nadal cytuję Wikipedię).

Święto po raz pierwszy obchodzono trzy dni przed atakiem na WTC. Chyba tylko przedstawiciele polskich elit intelektualnych i artystycznych mogli tak się wstrześcić z terminem.

Listopad rozstrzyga nasze spory. W listopadzie polskość ogarnia nawet przyrodę. W listopadzie powinniśmy pomyśleć o bezimiennych wyrobnikach optymizmu. O twórcach stron i serwisów z dobrymi wiadomościami, które mają krzepić, a na końcu zawsze okazują się takie potwornie przygnębiające.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **listopadzie**



Sayam Ghosh: Jak powraca las w Muzeum Warszawy

Od 22 września w Muzeum Warszawy obejrzeć można wystawę *Sayam Ghosh: Jak powraca las*. To rezultat trwającego od sześćdziesięciu lat eksperymentu odtworzenia leśnej biosfery w podwarszawskiej Puszczy Kampinoskiej, przeprowadzonego przez artystę i fotografa Sayama Ghosha we współpracy z naukowcami z Kampinoskiego Parku Narodowego. Wystawa inauguruje działalność Galerii Rynek 30 – nowego miejsca dla młodych artystek i artystów podejmujących najbardziej aktualne tematy.

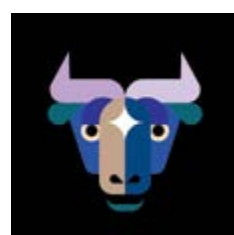
WIĘCEJ: muzeumwarszawy.pl



Sztuką w reżim – Białoruś na plakatach Vladimira Tseslera

W warszawskiej Pracowni Duży Pokój można oglądać pierwszą w Polsce indywidualną wystawę Vladimira Tseslera, jednego z najbardziej znanych białoruskich grafików. Wystawa *Sztuką w reżim* nawiązuje do współczesnej sytuacji na Białorusi. Towarzyszą jej spotkania z innymi artystami walczącymi z reżimem Łukaszenki oraz debaty poświęcone prawom człowieka. Prace Tseslera można oglądać do 23 grudnia.

WIĘCEJ: duzypokoj.org



Azjatycki Festiwal Filmowy Pięć Smaków

Organizatorzy Azjatyckiego Festiwalu Filmowego Pięć Smaków zapraszają na piętnastą edycję w tym roku również w wersji hybrydowej – stacjonarnie w Warszawie oraz online. Przegląd najciekawszego, zarówno nowego, jak i klasycznego, kina z Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej potrwa od 17 do 29 listopada.

WIĘCEJ: piecsmakow.pl

Listopad 2021

9

17

25



American Film Festival we Wrocławiu

Jak co roku w listopadzie czeka nas przegląd niezależnego kina amerykańskiego. Podczas festiwalu zobaczymy zarówno najnowsze filmy najlepszych amerykańskich twórców, jak i retrospektywy starych mistrzów (w tym roku Idy Lupino) oraz premierowe pokazy najciekawszych debiutantów. Tegoroczna, dwunasta edycja festiwalu odbędzie się w dniach 9–14 listopada.

WIĘCEJ: americanfilmfestival.pl

Festiwal Synestezje w Krakowie

Tegoroczna edycja festiwalu, który promuje głównie polskich artystów z dziedziny muzyki, obrazu i słowa, odbędzie się w dniach 25–28 listopada w Krakowie. Planowane są koncerty (między innymi Nangi, Miuosha czy Baascha), happeningi, wystawy, pokazy VJ-ów i panele dyskusyjne.

WIĘCEJ: synestezje.pl



Japońska awangarda w Zachęcie

Już 25 listopada w warszawskiej Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki otwarta zostanie wystawa organizowana we współpracy z The Japan Foundation. *Między kolektywizmem a indywidualizmem. Awangarda japońska w latach 50. i 60.* to przegląd prac japońskich artystów i grup artystycznych powstałych po drugiej wojnie światowej. Prace obejmują rozmaite dziedziny sztuki, od malarstwa i rzeźby, przez grafikę i rysunek, po instalacje, performance, fotografię i film.

WIĘCEJ: zacheta.art.pl

Przemytniczki

zdjęcie KAROL GRYGORUK,
tekst ANNA ALBOTH

—
RATS
AGENCY

Ceuta i Melilla to ostatnie enklawy hiszpańskiego kolonializmu w północnej Afryce. Odgródzone trzema sześciometrowymi płotami i systemem zabezpieczeń, są najsilniej strzeżoną granicą Unii Europejskiej. Mimo tego codziennie setki *portadoras*, czyli marokańskich przemytniczek, przenosi towary przez przejście graniczne Barrio Chino, z hiszpańskiej na marokańską stronę. Bez cła, kontroli i w świetle dnia.

Niosą na plecach od trzydziestu do stu kilogramów, czasem pomagają sobie deskorolkami. Przemycają używane ubrania, buty, koce, papier toaletowy czy nawet torebki plastikowe, które od pięciu lat są zakazane w Maroku. Mogą zarobić 5 euro za każde przejście, więc ustawiają się w kolejkach już nocą, żeby zacząć jak najwcześniej i w ciągu dnia zrobić kilka rundek.

Dla wdów czy rozwódek ta „nietyпова forma handlu”, jak miejscowi nazywają przemyt, to jedyna forma zarobku. Te, które nie są w stanie wykonywać pracy przemytniczej, starają się dostać do Hiszpanii przekraczając granicę nielegalnie. Polityka unijna ujawnia tu swoje paradoksy: Hiszpania, jak i cała Unia, teoretycznie wspiera Maroko w migracyjnych wyzwaniach. Jednak Marokańskie Stowarzyszenie Praw Człowieka (Association Marocaine Des Droit Humains AMDH) zauważa, że Unia nie monitoruje sposobu, w jaki Maroko wydaje pieniądze po swojej stronie granicy.

3,5 mld

- to wysokość finansowego wsparcia (liczona w euro), jakie na lata 2020–2027 od UE ma otrzymać Maroko w zamian za uniemożliwienie uchodźcom dotarcia do Europy.





Więzień Kufsteinu

tekst JACEK DEHNEL

W niedzielę po mszy będą pokazywali na rynku węgierskiego zbójnika – powiedziała do męża aptekarzowa Stenzlowa; nie podniosła nawet głowy znad talerza zupy; widział prostą, białą linię jej przedziałka rozdzielającego dwa skrzydła czarnych włosów, zwiniętych z tyłu w niski koczek. – Podobno wygląda przerażająco.

– Strata czasu i pieniędzy – mruknął, co zamknęło całą rozmowę. Dzieci też jadły w milczeniu, nieco siorbąc z przydużych dla nich łyżek, ale czuł w powietrzu ich nie-mym zawód.

Potem, stojąc na zapleczu apteki za mahoniowym kantorkiem, obstalowanym do firmy jeszcze przez ojca, wyrzucał sobie, że był taki szorstki. Pieniądzy im nie brakowało, czasu też. Zaopatrywał w leki, wzmacniające wina i pastylki pół Kufsteinu i sporo okolicznych wiosek, miał też zakład fotograficzny i dom przy Dolnym Rynku, zaraz obok mostu nad Inn, stary i obszerny, bo trzypiętrowy, z fikuśnymi wykuszami na rogach. Stać go było na to, żeby zapłacić tych kilka krajcarów za bilety dla siebie, żony, trojga dzieci, ba, jeszcze służącej i subiekta, nawet by tego nie zauważył. Choć, oczywiście, odnotowałyby, jak wszystkie wydatki.

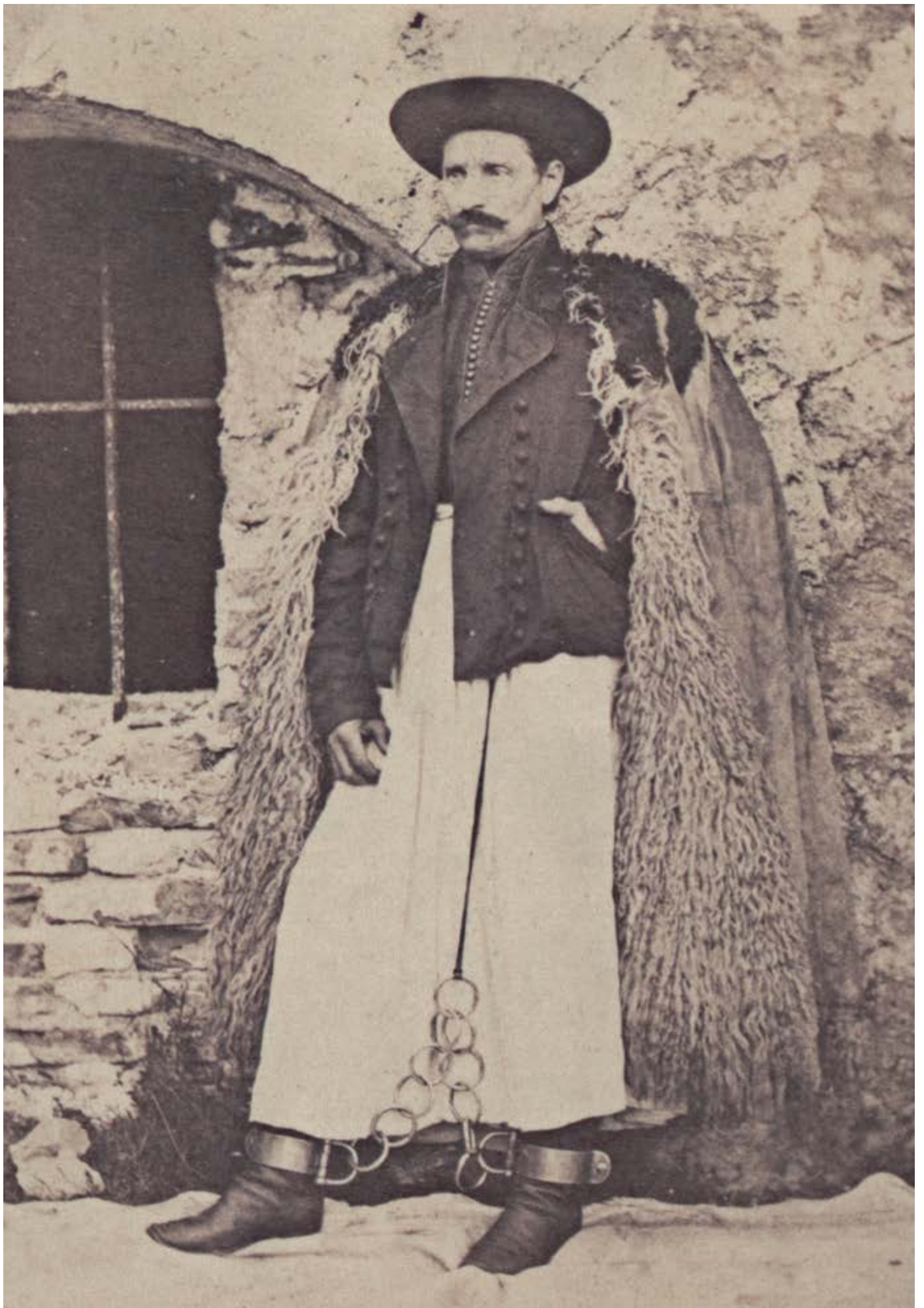
A przecież sobie sprawiał przyjemności. Nie banalne, jak kosztowne breloki do dewizki albo giemzowe rękawiczki, nie grzeszne, jak nocne wycieczki do zamtu-

zów w Innsbrucku. Ubrania solidne, drogie, ale noszone latami. Z rozrywek: prowadzenie zielnika, prenumerowanie pism naukowych, drobne eksperymenty. Lubił się czasem popisać tym w towarzystwie, zbierać wyrazy uznania, w gruncie rzeczy jednak sprawy nauki, chemii, wynalazków po prostu go bawiły. Tak samo było z fotografią: w rozmowach z żoną czasami się usprawiedliwiał, bardziej przed samym sobą niż przed nią, że to dodatkowy zarobek, jednak w głębi duszy wiedział, że jego atelier przynosi niewiele więcej pieniędzy, niż ich pochłania. Ale dzięki zakładowi on, człowiek pozbawiony jakichkolwiek zdolności do rysunku, może się przyglądać, jak z niebytu przychodzą do niego twarze i stroje sąsiadów, rajców, kupcowych, okrągłe niczym rzodkiewki głowy dzieci. Jak w bajce o głupim chłopcu, który znajduje skarb, jego ręce, w rysowaniu tak niezgrabne, wykradły tę umiejętność światu dzięki czarom. Czarom, które nazywają się „nauka”. Tak było zawsze. Na ścianie apteki wisiał w ciemnych ramkach nieco poźółkły – bo sprzed lat dwudziestu – arkusze z „Wiadomości Innsbruckich”, opisujących eksperymenty z nowo wynalezioną bawełną strzelniczą. Sam ją, ostrożnie, przygotował w aptecznym laboratorium, sam zaniósł do celestatu gronu pierwszorzędnym strzelców, sam odmierzał, sam notował. Ładunek sześciu granów bawełny pozwolił strzelić na pięćdziesiąt sie-

dem kroków, ośmiu granów – na sto, dziewięciu – na sto pięćdziesiąt kroków, dwunastu wreszcie – na sto osiemdziesiąt kroków. Zapisywał to wszystko, podał do druku i teraz istniało już na zawsze, wydrukowane dzięki wynalazkowi Gutenberga. Z którym czuł jakieś dalekie powinowactwo: dwaj ludzie nauki w dwóch różnych epokach.

Podniósł wzrok znad kantorka. Powyżej wisiała za szkłem stara rycina z pyzatyńskim Paracelsusem; ale światło z okna tak się kładło na szybie, że widział w niej teraz własne odbicie: zwyczajną, pociągłą twarz z głęboko osadzonymi oczami, które, ocienione, przez moment wydawały się tylko ciemnymi oczodołami pod kopułą przedwcześnie posiwiałych włosów, białych jak czaszka.

A JEDNAK SIĘ WYBRAŁ. Z fary wyszli w lewo, w kierunku domu, po czym powiedział Agnes, że musi jeszcze pilnie coś załatwić przed obiadem, obrócił się na pięcie i ruszył za róg, na Górny Rynek. W niedzielnym surducie z satynowymi wyłogami, ze strużką potu spływającą za uchem spod kapelusza, bo dzień był lipcowy i gęsty; idąc i co rusz się komuś odkładając, czuł, jak włosy mu się mierzwią, spotniałe – nie, żeby się tym przejmował, nigdy nie był próżny w kwestii własnego wyglądu, po prostu myślał o tym, jak każde uchYLENIE cylindra trochę je wzburza i zaraz znów przyklepuje.



zdjęcie JOHANN STENZL, Rosza Sandor w twierdzy Kufstein, około 1860, Muzeum Wiedeńskie, domena publiczna

Przed namiotem nie było nawet tłoczno; u wejścia stało dwóch strażników z twierdzy, oddelegowanych przez komendanta bardziej dla dekoracji, niż żeby faktycznie pilnować więźnia; na prawo od nich, przypięty do płótna, wisiał afisz z wypisanymi koślawo cenami wstępu: dwa krajczary za dorosłego, dzieci połowę taniej, dwa fenigi.

Trzeci strażnik chodził po placu z werblem i to bębnił, to wykrzykiwał: „Niepowtarzalna okazja! Tylko dziś! Krwiożercza bestia z Pusztę! Zbój węgierski Sándor Rózsa, który ma na sumieniu trzydzieści ludzkich istnień! Zobaczcie więźnia Kufsteinu!”.

– Też mi niepowtarzalna. – Nachylił się do niego jakiś przyjezdny w brązowym cylindrze, z dolną wargą wydatną i śliską, jak szklawioną. – Miesiąc temu też go podobno pokazywali.

Odsunął się tylko i nic nie odpowiedział. Tamten łypnął, drugi raz, w końcu odwrócił się, wyłuskał z kieszonki dwie krajcarowe monety i rzucił sprzedawcy: stajennemu z twierdzy, który stał z wyplatany koszykiem, jakby po prośbie.

– To ja może też wejść, Antonie – powiedział do chłopaka, a ten rzucił „Tak jest, panie burmistrzu” i skwapliwie podsunął koszyk.

– Zaraz dwa lata miną, jak nie jestem burmistrzem – rzucił niby to lekceważąco, ale przecież zadowolony z tej czolobitności.

Brzęknęło, Anton, zmieszany, podał mu złożoną na pół ulotkę, ukłonił się jak porcelanowy chińczyk i wskazał wejście do namiotu, które aptekarz Stenzl rozsunął końcem laski i wszedł w ciemność.

—
NIC BY NIKOMU o tym nie powiedział, gdyby następnego wieczora Agnes, pochylona nad jego szelkami, które od tygodnia haftowała w niezapominajki, nie rzuciła, właściwie w przestrzeń:

– Spotkałam rano panią Kink i powiedziała, że aż miło na ciebie patrzeć, odkąd wyzdrowiałaś.

– To bardzo uprzejmie z jej strony.

Znów wpatrywał się w białą kreskę przedziałka. Czuł, że kryje się za tym coś jeszcze.

– I jeszcze dodała, że więzień nie zrobił na tobie wrażenia, a na niej i owszem.

Przez chwilę oboje milczeli i wtedy zegar zaczął miarowo wybijać dziewiątą. Po dziewiątym uderzeniu Stenzl wreszcie zebrał się w sobie.

– Nie rozmawialiśmy na ten temat.

Wyprostowała się w fotelu, odsunęła róbótkę, żeby na nią spojrzeć, po czym wróciła do haftu, by po jakimś czasie wreszcie dodać:

– Zapewne. Mówiła po prostu, że wyszedłszy z tego namiotu, cała aż się trzęsła, a ty się uśmiechałeś jak gdyby nigdy nic.

Teraz zegar nie dał mu pauzy.

– Pomyślałem – chrząknął – że może to jakiś sposób na dodatkowy dochód dla zakładu. Fotografie. Nie każdy przyjedzie do Kufsteinu oglądać więźnia, a tak mógłbym sprzedawać odbitki przez Kramera w Innsbrucku, może w samym Wiedniu, może wysłać do Budapesztu, kto wie? – Przedziałek nawet się nie poruszył. – Musiałbym dostać tylko pozwolenie od komendanta, ale to najpewniej ledwie kwestia pieniędzy...

Wiedziała, że już tego nie słuchała. Chodziło o to, żeby mogła teraz pielęgnować urazę, o ten bezgłośny wyrzut, że ją okłamał, jakby zawsze musiał ją wtajemniczać w każdy swój krok, jakby nie miał prawa do tego, żeby przy dzieciach powiedzieć „To strata czasu i pieniędzy”, a samemu zapłacić dwa krajczary i wejść do namiotu.

– Pójdę już spać. Zauważyłem onegdaj, że nadpruła mi się szlafmyca z lewej strony – powiedział w końcu i wstał niezgrabnie, skrzypiąc krzesłem.

Kiwnęła tylko głową i powiedziała „do-branoc” takim tonem, jakby mówiła: „Nie wracajmy do tego”.

—
ALE SÁNDOR RÓZSA do niego wracał.

W namiocie, jak i wokół niego, wielkich tłumów nie było, w półmroku rozpoznał kilka miejscowych twarzy; tej Kink nawet wtedy nie zauważył, zresztą to nie po widowni się rozglądał. Rózsa, z nogami spętany łańcuchem o dużych, okrągłych ogniwach, siedział na zbitym z desek podeście, do któ-

rego przymocowano kajdany. Stenzlowi przeszło przez głowę, że to z pewnością też robota żołnierzy i robotników pracujących dla twierdzy; namiot był wojskowy, a w głębi stał kolejny strażnik, już czwarty, mający baczenie, czy zbójnik nie manewruje przy łańcuchu. Co zresztą mieli do roboty żołnierze z tej hecy z pewnością zasilają prywatną kieszeń komendanta.

Zbójnik strój miał dziki, przywodzący na myśl jakieś dawne wojska zaciężne: białe, acz przybrudzone spodnie z szerokimi nogawkami jak spódnica, nad nimi kamizelkę zapinaną prawie pod szyję na okrągłe guziczki, na to kaftan z grubego, ciemnego sukna, z bufiastymi rękawami i pętlcami. I wąsy, wąsy, które były bardziej częścią stroju niż twarzy, przecinające ją dwoma ciemnymi półksiężycami jak zakrzywionymi szablami janczarskimi. Takich wąsów w Austrii by się nie uświadczyło, wyglądały jak wzięte od Turka z teatru.

Dookoła dało się niekiedy słyszeć jakiś strwożony szept i w ogóle atmosfera była – poza tym, że duszna, jak to w wystawionym na słońcu namiocie w środku lata, i gęsta od ludzkich zapachów, wśród których zapach więźnia, z rzadka mogącego się umyć, był szczególnie mocny – raczej lekliwa, z lekka histeryczna, niż karnawałowa. On jednak, mówił sobie, przyszedł tu wyłącznie z powodów naukowych, by przyjrzeć się fizjonomii tej sławnej, jak to reklamowano, bestii.

Spomiędzy lekko rozchylonych płacht przy wejściu do namiotu wpadało do środka trochę światła i Stenzl wyjął z kieszeni ulotkę, żeby sprawdzić, czy może dowie się z niej czegoś nowego, ale w Kufsteinie całą historię Rózsy znano aż za dobrze: był węgierskim zbójem, wywodzącym się z rodziny przestępców, miał ojca koniokrada, który skończył na szubienicy, sam zaczynał w tym fachu jako młody pastuch, z czasem jednak dorobił się własnej bandy, łupił na potęgę, zabijał, miał ponoć na sumieniu trzydzieści ludzkich istnień. W końcu został zdradzony i go pochwycono, ale kiedy wybuchła rewolta przeciw Najjaśniejszemu Panu, uzyskał

od Węgrów przebaczenie i z pasterzy zebrał konny oddział stu pięćdziesięciu zbójów. Wypadali z lasu, dzierżąc długie, górskie siekiery i zakończone ołowianymi kulkami bicze na bydło, którymi siali śmierć i zniszczenie w szeregach austriackiej kawalerii, po czym znów przepadali w lesie. Że jednak Rózsy dopuścił się kolejnych zbrodni, nawet rebelianci usunęli go ze swoich szeregów i wpadł ponownie, był przez trzy lata sądzony, wreszcie skazany na karę głąwną.

Przeglądał mu się uważnie. Rózsa wydawał się być zupełnie gdzie indziej; nie żeby uciekał wzrokiem, po prostu patrzył w przestrzeń; nawet jeśli oczy skierował na tę czy inną osobę, zdawały się ją przenikać i szukać czegoś znacznie dalej. Stenzl myślał o tej twarzy, twarzy człowieka, który został skazany na powieszenie, o jej nabiegnięciu ciemną krwią, wykrzywieniu się w grymasie, o dygocie. Może dlatego nic nie robiło teraz na niej wrażenia.

Wyrok za osobistą zgodą Najjaśniejszego Pana zmieniono na dożywocie, zbrojnika osadzono w Kufsteinie jako jedyne więźnia cesarskiego i w mieście zaczęto opowiadać o nim najróżniejsze historie: że kule odbijały się od jego kapelusza, że miał moc magiczną i umiał przybierać kształty zwierząt, by wymknąć się pogoni żandarmów, lub też zupełnie zniknąć.

Ale Stenzl nie widział w nim czarnoksiężnika. Prędkiej już siebie za takiego uważał; czyż nie było swoistą magią produkowanie bawełny strzelniczej i wywoływanie ludzkich cieni na szklanych kliszach? Dlatego był przekonany, że czarnoksiężnicy – ci prawdziwi, nie bajkowi – nie mogą być, jak ten dzikus, niepiśmienni, tylko muszą prenumerować pisma naukowe z Wiednia i umieć łączyć ze sobą odczynniki. Nie, to coś innego, czego nie umiał nazwać. Ale zostało w nim to jak karb, jak nacięcie skóry.

Nie zabawił tam długo, wyszedł, wrócił do domu. Twarz Rózsy była z nim jednak nadal, nie opuszczała go: sroga, jak wyciosana z grubsza siekierą z kłoca starego drewna. Fotografowanie żony, dzieci, sąsiadów, przglądanie się, jak białe twarze wychodzą z ciemności, by powoli wypełnić się najdrobniejszymi zmarszczkami, włoskami, punktami światła na czubku spoconego nosa – to już mu się trochę znudziło. Obfotografował już cały Kufstein, w każdym razie wszyst-

kich, których było na to stać, i czuł się trochę jak ciotka Othilie, stara panna, która za młodu wyuczyła się ładnie wycinać profile z czarnego papieru, a potem, znudzona swoim długim życiem, zamęczała wszystkich o pozowanie, zawsze gotowa zwrócić uwagę na czyjś garbaty nos, podwójny podbródek czy cofniętą szczękę, które efektownie wyglądałyby na wycinance.

Kiedy więc szukał pretekstu, by odeprzeć jakoś cichą wymówkę Agnes, ten przyszedł mu do głowy błyskawicznie; wypowiedział słowa o fotografowaniu, zanim jeszcze na dobre o nim pomyślał.

CO KILKANAŚCIE METRÓW przystawał, zdejmował cylinder, wyjmował z kieszeni coraz bardziej wilgotną chustkę, ocierał czoło, zakładał cylinder, parę chwil medytował albo rzucał coś do aptecznego subiekta, który, spocony jeszcze bardziej, targał statyw i ciężkie, mahoniowe, połyskujące w słońcu mosiężnym obiektywem pudło aparatu, po czym ruszali dalej.

– Gdyby tak można było wjechać – sapnął młodu, wskazując głową stromy tor funikularu, którym wciągano na górę broń i skrzynie amunicji – co to by była za wygoda...

Nic nie odpowiedział, piął się twardo po stopniach, stawiając równo odmierzone kroki, jak metronom.

– ...albo przynajmniej aparat wciągnąć.

– Nie gadaj głupot.

Tak jak podejrzewał, wystarczyła jedna rozmowa z komendantem – którego spotkał dwa dni temu, spacerującego wzdłuż rzeki swoim niby to wojskowym, ale w istocie dziwnie nerwowym krokiem – by ustalić warunki wykonania zdjęć; nie musiał nawet kłaść gotówki, wystarczyło ustne zapewnienie o procentowym podziale zysków ze sprzedaży fotografii przez sklepy Oscara Kramera (podejrzewał, że na tym stanęło, bo pokazywanie Rózsy na rynku przyniosło kwoty wystarczające na pokrycie wszystkich bieżących długów pułkownika).

Szli z aparatem mozolnie, zygzakiem, pod przęsłami dźwigającymi tory funikularu. Stąd miasto wyglądało jak na wędzicy: w miarę jak wchodzili coraz wyżej, gmatwano dachów i wież zdradzała coraz bardziej siatkę ulic; Kufstein, płaski i niepozorny, wyglądał z wież twierdzy jak mapa.

Mała Księżniczka

pióra Karoliny Lewestam

Poetycka baśń dla dzieci i dorosłych o tym, co życiu najważniejsze.



Już w księgarniach!

W
y
a
b



Patroni medialni:

infokomercyjna.pl

BOOKLEPSZ, III

Stare
Lubusze

Partnerzy:

Pismo.

SNAP PAPIRNAS Dr Inga Ern

4

Wartownicy stali przy samej bramie, pod Basztą Mieszcząską, tak że okrywał ich wąski pasek cienia i wyglądali jak dwóch Maurów w ciemnych mundurach; puścili ich, zanim jeszcze Stenzl zdążył się przedstawić; uchylił zatem lekko cylindra, a przy okazji po raz kolejny przetarł chustką czoło i kark.

—
wszystko to nie trwało nawet godziny. Trzy kwadransy? Kiedy weszli na dziedziniec, więzień, zawczasu naszykowany, czekał już na nich, bez ruchu. Nie był to jednak bezruch leniwy, tylko czujny. Stenzl ukłonił mu się nieznacznie, przytykając tylko dwa palce do rąk kapelusza, ostatecznie był szanowanym obywatelem i do niedawna burmistrzem.

– Mówi po niemiecku? – zapytał półgłosem stojącego nieopodal młodego porucznika, który uważnie lustrował dachy twierdzy, jakby spodziewał się tam dostrzec coś zajmującego.

– Pojedyncze słowa. – Wzruszył ramionami. – Ale mało co. Gadatliwy to on nie jest.

Subiekt stał, przygarbiony pod ciężarem aparatu i statywu.

– Rusz się. Masz, tu ustaw. – Stenzl pokazał mu kawałek udeptanej ziemi. A sam wyciągnął chustkę i znów przetarł kark. Rzucił okiem na zbójnika: wciąż w tym samym sukienym kaftanie i białych spodniach, w których widział go w namiocie, teraz miał jeszcze na głowie kapelusz z zadartym do góry rondem. Ale się nie pocił.

Próbował jakoś pochwycić jego spojrzenie, ale ześlizgiwało się po nim; czujność Rózszy nie była nastawiona na fotografa, jego pomocnika czy żołnierzy, raczej rozproszona, wszechogarniająca. Zbójnik przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i lekko zabrzączał kajdanami; łączący je łańcuch miał podwiązany postronkiem do paska, żeby nie włożył go po ziemi. Przez chwilę, z tą samą beznamietnością co poprzednio, przesunął wzrokiem po pudle aparatu, które w ostrym lipcowym słońcu zdawało się płonąć własnym mahoniowym blaskiem.

Stenzl zdjął cylinder i postawił go dnem do góry na kamiennym słupku. Potem bez słowa wyciągnął rękę, a subiekt, który już parę razy asystował mu przy zdjęciach, podał mu pierwszą kasetę ze szklaną kłiszą.

Pod czarnym suknem było jeszcze duszniej i goręcej; patrzył na odwróconego, pomniejszonego zbójnika: u góry czarne chodaki, wiszący u nich łańcuch, zaplecione ramiona i, na samym dole, okrągła głowa na podstawie z ciemnego kapelusza. Zrzucił z pleców sukno, spojrział na niego już nie przez obiektyw, krzyknął, żeby się nie ruszał – niepewny, czy zostanie zrozumiany – i zanurkował z powrotem w ciemne i duszne.

Czekanie, liczenie w pamięci. Koniec. Kasetę wysuniętą spod sukna i ręką zawieszoną w oczekiwaniu na kolejną.

—
TERAZ WSKAZAŁ MU bez słowa kamienny słupek, podobny do tego, na który odstawił cylinder; kiedyś były w nich chyba kółka do wiązania koni na dziedzińcu. Zbójnik przysiadł i patrzył przymrużonymi oczyma spod ściągniętych brwi; słońce przeszło już zenit, omijało teraz rondo kapelusza i świeciło prosto w twarz. Szczęk wsuwanej kasety, odsłonięcie obiektywu, liczenie. Ponowny szczęk.

Dał mu do zrozumienia, żeby obnażył głowę; Rózsza nie zmienił miny ani na jotę, rzucił kapelusz na ziemię, koło lewej nogi, i złożył ręce na kolanach. Włosy miał gęste, zaczesane do tyłu w burzliwe fale. Za nim widać było okratowane okno żołnierskich kwater w koszarach. Jakiś młody chłopak bez kurtki mundurowej, może schodzący na sen po długiej warcie, oparł się leniwie o parapet, podłubał w zębie, wreszcie zniknął z kadru. Stenzl na migi dał znak, żeby zbójnik obrócił nieco twarz i spojrział ku bramie na dziedziniec. Takie było zdjęcie trzecie. Przed zrobieniem czwartego Stenzl zwrócił się do młodego porucznika, który wciąż kręcił się w pobliżu, co jakiś czas ciekawsko popatrując na aparat, i poprosił go o jakiś pled czy siennik; porucznik huknął na pomagiera, który po paru minutach rzucił na ziemię długowłose owcze runo. Rózsza zszedł ze słupka i położył się w swobodnej pozie – półleżał, z lewą dłonią wspartą na zgiętym kolanie, trochę bohatercko, a trochę kokieterystycznie, jak męska odaliska, i patrzył tym razem w przeciwną stronę.

—
PRZEZ CAŁY TEN CZAS nie stracił nic ze swojej czujności, ale też niczym się nie zainteresował, zupełnie jakby rzeczywistość opływa-

ła go jak woda. Stenzl zastanawiał się, czy kiedyś już go fotografowano. Czy stał przed mosiężnym obiektywem, czy ktoś już go nauczył, że ma się nie ruszać? Nie, ten bezruch był chyba właściwy mu jak niektórym drapieżnikom, choćby modliszkom, które potrafią siedzieć godzinę jak nieruchome statuetki, by nagle rzucić się błyskawicznie na ofiarę, pochwycić ją w kolczaste ramiona i spokojnie rozgryzać, wyrwijącą się, dopóki nie zastygnie.

Jeśli ktoś był zmieszany, to on, aptekarz Stenzl, jakby peszyła go sama obecność Rózszy. Nie czuł tego tak dojmująco w namiocie, kiedy „potwór z Puszczy” siedział na podeście jak zwierzę w klatce. Teraz też niby był skuty, a jednak wrażenie było inne. Wyjąwszy z aparatu czwartą, ostatnią kasetę, Stenzl znów się minimalnie ukłonił, a tamten po raz pierwszy uznał jakoś jego obecność: przymknął powoli i otworzył oczy. Siedział jeszcze chwilę na futrze, aż przyszedł po niego żołnierz; dźwignął się wtedy, dzwoniąc łańcuchem, i niespiesznie ruszył do Baszty Cesarskiej, pogwizdując jakąś nieznaną w tych stronach melodię.

—
TAK OTO zaczęły się dni tęsknoty aptekarza Stenzla, który z początku nawet sobie z niej nie zdawał sprawy. Od tylu lat miał nieustannie jakieś zajęcia, czy to w aptece, czy w zakładzie fotograficznym, czy w różnorodnych towarzystwach, że brakowało mu czasu na to, żeby zajmować się uczuciami. Kochał, oczywiście, żonę i dzieci, nieżyjących rodziców, Boga i kraj, ale każda z tych emocji miała swoje stałe miejsce, jak szufladka w aptecznej komodzie, z pięknie wykaligrafowanym na emaliowanej tabliczce oznaczeniem; wystarczyło, by dbał o te szufladki jak o całą resztę swojej firmy, to jest pamiętał o zapewnieniu ich odpowiednimi rytuałami: żeby odezwać się do żony życzliwym słowem, a czasem nawet rzucić jakiś wyszukany, nieco sztywny komplement, wziąć dzieci na kolana i kupić im pomarańcze czy pożyteczne książeczki na Święta, chodzić na msze, modlić się na grobach i tak dalej. Nie prowadził może żadnego skontrum, nie zapisywał w księgach po stronie należności oczekiwanych i zaspokojonych, ale czuł, że prowadzi te rachunki w głowie bez zarzutu, i niczego nie jest winien ani światu, ani swoim uczuciom.

Teraz jednak w jego codzienne zajęcia kradł się jakiś nowy element. Stał na przykład za kantorkiem i wypisywał tekst reklamy, który miał ukazać się w gazecie: „Znakomite wilhelmsdorfskie cukierki z ekstraktem słodowym przeciwko kaszlowi, gorączce, flegmie, fabryka Josef Küsserl i S-ka z Wiednia, 10 krajcarów za opakowanie” – pisał swoim starannym, acz nieco pękatym pismem. – „Doradzane przez prof. Oppolzera i Hellera z kliniki wiedeńskiej i prof. Niemeyera, największego w Niemczech, obok Skody, specjalisty chorób płucnych”. I znikąd wracała do niego twarz Rózszy, jego opanowanie i zwierzęca czujność.

Kiedy indziej po prostu się rozmarzał. Poczytał trochę gazetowych artykułów o Węgrzech i tamtejszych zbójnikach, o samym Rózsie, o tym, że posiada ziemię, gdzie gospodaruje jego matka, że ma dwóch synków, niepiśmiennych jak on, że jego pierwsza kradzież to podprowadzenie dwóch jałówek. Sprowadził też sobie z księgarni w Innsbrucku mapę Niziny Panońskiej, a nawet samouczek języka węgierskiego, dzięki czemu przez parę dni umiał zapytać, gdzie znajdzie najlepszego krawca w Peszcie, i powiedzieć, że wołałby danie z mniejszą ilością papryki, potem jednak zarzucił naukę i zdania te wywietrzały mu z głowy. Łapał się jednak na niezwykłych dla niego chwilach roztargnienia, kiedy niczym mały chłopiec – choć w dzieciństwie nigdy mu się to nie zdarzało – rozmyślał o nocnych przeprawach przez rwącą rzekę, o rabowaniu dyliżansów i potyczkach z dragonami. Zasiadał, dajmy na to, do listy ziół, które musi kupić od starych zielarek z doliny, i trzy kwadransy później ktoś wyrwał go z odrętwienia, wołając: „Obiad” albo „Przyjechali od Kramera po zdjęcie”.

Skład Oscara Kramera sprzedawał bowiem coraz to kolejne partie fotografii, tak że trzeba było do tego zatrudnić dwóch pomocników, którzy dzień cały robili i przycinali odbitki, naklejali je na kartoniki z litografowanym napisem „Fotografia: aptekarz Stenzl Kufstein. Kopie we wszelkich rozmiarach zastrzeżone”, pakowali po dziesięć, po pięćdziesiąt, po sto, obwiązywali papierem i czekali na posłańca, który wiozł to do Kramera i dalej, na całe cesarstwo, aż po małe miasteczka Puszczy, bo i tam chciano mieć wizerunki słynnego zbójnika. Najbardziej cieszy-

ło to komendanta twierdzy Kufstein, który miał z tego całkiem ładny dochodek; sam Stenzl mniej o to dbał. Czasem tylko zachodził do pokoju, w którym uwijało się tych dwóch, brał do ręki któreś ze zdjęć, ale nie widział na nich Rózszy takiego, jakim go zobaczył w tamto lipcowe południe.

Wieczorami, jeśli pracował do późna nad rachunkami w kantorku, przechodził na pierwszym piętrze koło wykusza i zerkał przez okienko; gdy noc była bezksiężycowa, nie widział niemal nic, tylko czarne kontury murów na granatowym tle nieba. Jednak w noc księżycowe, w oddali, na skrawku widoku odciętego pierzejami wąskiej uliczki, dało się stamtąd zobaczyć mury twierdzy



Kufstein. Nie Basztę Cesarską może, gdzie siedział Rózsa, stojącą po przeciwnej stronie wzgórza, ale podobną do niej Basztę Mieszcząską. Weszło mu w zwyczaj, że – czy noc była księżycowa, czy nie – przystawał tam i patrzył na mury.

PRZEDE WSZYSTKIM jednak Stenzl zaczął śnić.

Nie żeby nie zdarzało mu się to wcześniej. Dotychczas jednak sny przychodziły do niego rzadko, niechętnie, jakby nie miały czasu dla jego ścisłego umysłu. Teraz stały się zaś długie, pełne szczegółów, rojące się od postaci i zdarzeń jak mrowiska wspomnień. Cudzych, nie jego własnych. W jego uprzednim życiu śniła mu się codzienność, zupełnie jakby to, co robił w ciągu dnia, musiało czasem

– z rzadka – zostać przeżyte ponownie. Spał więc na swojej połowie małżeńskiego łóżka, a śpiąc, ubijał masę na pigułki, tropił jakiś oporny błąd w rachunkach, udzielał reprimendy służącej albo subiektowi (bywało nawet, że śniło mu się, że śni: leży w pościeli, pochrapując lekko). Jeszcze rzadziej trafiał mu się jakiś moment z dzieciństwa: łowienie ryb w strumyku, szkolna przykrość czy radość, o której zdążył przez lata zapomnieć. Sny te były niemalże pozbawione kolorów, nie było w nich nic nadzwyczajnego, żadnych smoków, latania w przestworzach czy biegania po niedosiężnych zamczyskach; zawsze uważał podobne marzenia za głupoty właściwe dzieciom i kobietom, których niedorozwinięte mózgi skłonne są do takiego marnotrawienia sił życiowych na bajki.

Teraz jednak faktycznie w sen za padał, jak kamień rzucony do studni. Wpadał w opowieści długie i awanturnicze, przenoszące go nieodmiennie na węgierską Pustkę, którą wyobrażał sobie trochę jak biblijną pustynię, a trochę – jak niekończące się, wyschnięte pola, popręciane, rzecz jasna, gościńcami, na których grasują zbójcy.

To nie tak, że śniło mu się bycie Rózsą; owszem, często miał na sobie jego granatowy kaftan i białe spodnie – nie widział ich w całości, a jedynie rękaw zakończony dłonią ściągającą lejce, i nogi okraczające siodło; widział też innych zbójów, którzy zawsze byli ubrani w ten sam sposób i zawsze mieli wielkie czarne wąsiska, czasem nastroszone, czasem zwisłe, w rękach zaś ściskali bicze i długie, lekkie siekiery, którymi bezlitośnie dziesiątkowali cesarskich dragonów. Był raczej kimś takim jak Rózsa, tylko odważniejszym i swobodniej korzystającym z życia.

W snach tych spał pod gołym niebem, galopował przez pustkowia sam w ogluszającym huku stu pięćdziesięciu jezdnych, rabował dyliżansy i wspinał się nocą po skałach, zaciskając zęby na brzeszczocie noża. Bywało, że budził się w środku nocy, czując jeszcze jego metaliczny posmak albo zapach dymu z dogasającego ogniska, przy którym właśnie, zawinięty w futro baranie, przysypiał, zmęczony zbójcekim rzemiosłem. Czasami pojawiały się tam kobiety, ale nie były to sny nieprzystojne, z których musiałby się spowiadać. Kobiety narzekały na swoich mężów, że włóczą się z oddziałem, pokazywały mu dziecko i mówiły, że to jego, gotowały

jedzenie. Siedziały po drugiej stronie ogniska, iskając głowę jakiegoś umorusanego sześciolatka albo skubiącą kurę.

Najpiękniejsze sny – takie, z których Stenzl budził się z płucami rozdętymi powietrzem jak czystą radością – były samym galopem; po lewej i prawej śmigaly mu niskie drzewka, rosochate badyle, a on mógł zrobić, co zechce, i pojechać, gdzie zechce, nie musiał ukrecać żadnej masy na pigułki, błędy w księgach mogły pozostać na zawsze niepoprawione i w niczym to nie przeszkadzało. Jego koń miał imię, ale węgierskie, więc na jawie nie umiał go sobie przypomnieć.

—
AGNES WYRAŹNIE traciła do niego cierpliwość i zrobiła się opryskliwa; dzieci zaś traktowały go z dystansem; składał na to karb ogólnych zmartwień, bo odkąd najmłodszy synek, Anton, zachorował na płuca, Agnes była bardziej jeszcze drażliwa niż zazwyczaj.

– Lamenty nic tu nie zmieniają – tłumaczył jej cierpliwym tonem – znaczenie mają tylko leki i siła organizmu. Doktor Rebhan wie, co robi, mały jest w dobrych rękach, ma do dyspozycji cały skład medyczny. Dajmy działać nauce.

Ale z jakiejś przyczyny wcale jej to nie uspokajało, przeciwnie, doprowadzało do zwartej, gęstej furii; zostawiała dzieci pod opieką służącej, brała książeczkę do nabożeństwa gestem takim, jakby chciała nią cisnąć o ziemię, i wychodziła na dwa, trzy kwadransy naprzeciwko, do fary, gdzie modliła się żarliwie. Przeciwko czemu, oczywiście, nic nie miał. A kiedy mały zaczął przychodzić do zdrowia i Agnes uparła się, żeby obstałować u złotnika wotum ze srebra, wąską, dziecięcą kłatkę piersiową, Stenzl przystał na to bez żadnych ceregieli. I dalej pograżał się w myślach o zbójniku.

Nie żeby kogokolwiek zamęczał opowieściami o Sándorze Rózsie, przeciwnie, nie wspominał o nim praktycznie nigdy. Chyba że kiedy ktoś, kto kupował syrop na kaszel czy wino borówkowe przeciw cholercie, prosił jeszcze o fotografię i wskazywał jedną z czterech odbitek wiszących na ścianie tuż obok artykułu o bawelnie strzelniczej.

Z zewnątrz wydawał się roztargniony czy może nawet, co wszystkich zaskakiwało, leniwy. A po prostu nic nie dawało się

porównać z tymi chwilami, kiedy zanurzał się w wyobrażonym życiu zbójnika. I trwałoby to jeszcze, nie wiadomo jak długo, gdyby nie pani Kink, obecna burmistrzowa, ta, z którą dwa lata temu wspólnie oglądali Rózsę w namiocie na Górnym Rynku. Najpierw poprosiła o pastylki słodowe, potem długo opowiadała o ciąży swojej synowej, wreszcie, prawie się już żegnając, wskazała na fotografię i powiedziała:

– No to zabrali nam bestię.

Nie zwrócił na to uwagi, nie odpowiedział, tylko zaczął wygłaszać zawczasu przygotowaną formułkę o ukłonach dla burmistrza Kinka, kiedy nagle uderzyły go te słowa i urwał.

– Jak to zabrali? – wykrztusił w końcu.

Ale pani Kink nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Słucham?

– Jak to „zabrali nam bestię”?

– Nie słyszał pan? – Oparła pulchną dłoń w mitencę o kontuar. – Zawieźli go do jakiejś innej twierdzy... zaraz sobie przypomnę... – Kilka razy klepnęła dłonią o blat. – O, właśnie. Maria-Theresiopel. Tam teraz siedzi. Dla niego pewnie żadna różnica, tu cela czy tam cela... ale komendant już sobie na biletach nie zarobi – rzuciła na koniec ze złośliwym uśmiechem.

– Ukłony dla pana burmistrza.

– Przekażę, przekażę, pozdrowienia dla szanownej małżonki...

I podryfowała w ciepły dzień późno sierpieniowy, niosący już w sobie jednak pierwsze zwiastuny jesiennej wilgoci.

—
TO WYTRĄCIŁO GO z równowagi. Zawołał subiekta z zaplecza, gdzie ten ucierał maść na odciski dla piekarskiej, i zamienił się z nim miejscami. Chwytał moździerz i długo ukrecał szarawą masę, co jednak nie przyniosło mu żadnego spokoju. Odłożył masę, siadł do ksiąg. Próbował wyobrazić sobie jedną z niezliczonych zbójnickich przygód, ale odstąpiły od niego, wymykały mu się nagle. Zupełnie jakby wywiezienie Rózszy – nie, nie samo wywiezienie nawet, ale świadomość, że już go nie ma w celi Baszty Cesarskiej – wyrwało również z korzeniami nowe życie wewnętrzne aptekarza Stenzla.

Zagubiony, stanął na środku małego pomieszczenia. Na kantorku leżały równo uło-

żone rachunki, w pionowych przegródkach listy wymagające odpowiedzi i te, na które odpowiedzi już udzielono, obok niski lichtarz, przy którym pracował nocami, i laska laku. Na półce, w równych szeregach, z grzbietami oprawionymi w półskórek, stały kolejne roczniki ksiąg, sięgające czasów pradziadka, tego, co sprowadził leżącą jeszcze na strychu, z lekka tylko napoczętą egipską mumię, którą w owych czasach prozokowano i sprzedawano najzamożniejszym klientom jako lek na bez mała wszystkie dolegliwości. Dalej zapasy chemiczne, trochę starych, nieużywanych porcelanowych słojów opisanych czarną czcionką, ze dwa nadłamane krzesła, puste pudła i beczułki, szpule cienkiego sznurka do pakowania przesyłek. Zrobił dwa kroki w przód, dwa w tył, potem na boki. Czy taka była cela Rózszy? Mniejsza? Większa?

Wtedy właśnie weszła Agnes i zapytała, czy złotnik przysłał już może chłopca z wotum za uzdrowienie Antona; speszzył się nieco, że przyłapała go na mierzeniu pokoiku krokami, coś wymamrotał, po czym sięgnął do szuflady kantorka i wyjął pudełeczko wyłożone granatową morą, gdzie srebrzyło się małe, dziecięce ciało, od pępka po szyję, jak tuszka u rzeźnika.

Wyszła, a on podniósł wzrok i przez chwilę znów zobaczył odbicie swojej twarzy w szybcie na portrecie Paracelsusa: ciemne oczodoły, białe sklepienie czaszki; właśnie w tym momencie wszystko zrozumiał.

Był potem znów burmistrzem, zakładał Kufsteińską Kasę Oszczędności, przecinał wstęgi, przemawiał na ślubach i pogrzebach, ofiarował mumię muzeum, czytał w gazetach o Rózsie (że znów go przeniesiono, wypuszczono, że napadł na pociąg i znów go zamknięto, a w końcu – że zmarł na gruźlicę w jakiejś twierdzy), nigdy jednak, aż do samej śmierci, nie opuściła go świadomość – świadomość wstydliva, której nikt nie podzielał, do której przed nikim nie wolno mu się było przyznać – że od samego początku to on był więźniem Kufsteinu, pozbawionym jakichkolwiek widoków na amnestię.

Agnes była już na schodach, kiedy usłyszała jego nagły niepowstrzymany płacz, jakby to nie on płakał, ale nim płakało; przyspieszyła kroku.